

Anna Gałczyńska

ROZMOWY Z LUDŹMI CIEKAWYMI WSZYSTKIEGO

Rozmowa z prozatką, pisarką i malarką – Moniką Maciejczyk

– *Nasza znajomość zaczęła się od Twojego wieczoru autorskiego. Było to ... o ile dobrze pamiętam w październiku 2008r. Promowałeś „Marinę” – powieść, którą napisałaś w Chorwacji. Jej akcja toczy się na jednej z najpiękniejszych wysp świata, cudownym Hvarze, pachnącym tymiankiem i lawendą, otoczonym od północy Górami Krasu, szmaragdowo odbijającymi się w lustrze Adriatyku. Domyślam się, że to urok tej zaczarowanej wyspy sprawił, iż muzy Kaliope i Euterpe były częstymi gośćmi pensjonatu, gdzie mieszkasz. Na tarasie, skąd roztaczał się piękny widok na morze, powstały także liryki ogłaszane w wielu polskich antologiach.*

– Tak, poznałyśmy się podczas mojego wieczoru autorskiego w Czytelnii Naukowej PiMBP w Kłodzku. W sposób profesjonalny, a jednocześnie ciepły i przyjazny wprowadziła Czytelników w nastrój i atmosferę mojej powieści. Pamiętam świecie i zapach lawendy, przyciemnione ciepłe światła. To wszystko stworzyło specyficzny klimat. Pomyślałam wtedy, że jesteś przyjazną duszą. Promowałam wtedy moją pierwszą powieść „Marinę”, którą napisałam w 2007 r. w małej wiosce Milna na wyspie Hvar. Mam tam Przyjaciół, u których wraz z całą rodziną spędzam wakacje. Ale opowiem Ci o początkach tej Wielkiej Przygody. Otóż w latach 70-tych, gdy byłam jeszcze dzieckiem na wyspie tą zabrał mnie mój ojciec. Byłam tam zaledwie kilka godzin, ale urok i czar tej wyspy zapadł mi głęboko w serce. Ojciec zmarł w czerwcu następnego roku w wieku 41 lat. Mój kochany ojciec był bardzo dobrym człowiekiem. Był lekarzem chirurgiem. Pracował bardzo ciężko i przez całe swoje życie zachowywał się jak przystojny dr Judym. Nigdy nie gromadził pieniędzy i nigdy nie przyjął ich od żadnego pacjenta, a wszystko co zdołał zgromadzić to była wielka życzliwość i wdzięczność ludzi. Moja mama zawsze mówiła, że ojciec mój wtedy jest najczulszy, kiedy ma w kieszeni 5 złotych. I była to prawda. Nigdy już w swoim

życiu nie spotkałam takiego człowieka, dla którego pieniądze nie miały znaczenia. Po prostu nie istniały. I właśnie ten dobry ojciec, za swoje skromne oszczędności ze szpitalnej pensji, zabrał mnie gdy byłam dzieckiem do Krainy Marzeń – na wyspę Hvar. A ta zielona wyspa pod błękitnym niebem stała się serdecznym testamentem mojego ojca. Mam wrażenie, że to jedyny skarb, obok serca i uczciwości, jaki zostawił mi w spadku.

Ale to jeszcze nie koniec tej historii. Bowiem życie pisze różne scenariusze i z braku odpowiednich środków finansowych pewnie bym na tą wyspę nigdy nie powróciła, gdyby nie... ciężka choroba mojego męża. Był to rok 2000 i sytuacja była poważna. Lekarze zalecili tak jak to przed laty bywało wyjazd na południe, do tzw. „ciepłych krajów”. W żaden sposób nie mogłam znaleźć rozwiązania. I wtedy pomyślałam o wyspie. O cudownej wyspie. Tam pojechaliśmy i tam poznałam wielu wspaniałych ludzi. Od tamtej pory Przyjaciele Chorwaci goszczą nas corocznie z całą serdecznością. Tam piszę książki i wiersze. Tam maluję. Mieszkam w pokoiku z tarasem pod samym niebem, a u stóp rozciąga się błękitny Adriatyk.

– *Wychowana jesteś od pokoleń w duchu patriotyzmu, kulturowym najpierw przez dziadków, potem rodziców, którzy przekazali ci jego wartość. Trwa to do dnia dzisiejszego. Ta narodowa tradycja odbiła się wyraźnym echem w twojej twórczości. Wiersz „Z Chochołów jestem” jest wyraźnym tego przykładem. Zdobył on pierwszą nagrodę w Konkursie Jednego Wiersza w Jeleniej Górze.*

– Wychowałam się w domu przepełnionym duchem patriotyzmu i szacunku dla tradycji narodowej. Brzmi to bardzo patetycznie. Ale taka jest prawda. Korzenie mojej rodziny są głęboko związane z losami Rzeczypospolitej. Mój cioteczny dziadek Stanisław był starostą lidzkim. Gdy jesienią 1918 r. zorganizowana została Samoobrona Ziemi Wileńskiej – w jej skład weszła Samoobrona Ziemi Lidzkiej. Tam

właśnie na Kresach została powołana Rada Narodowa Ziemi Lidzkiej, która przyczyniła się do rozbudzania ducha polskiego. Prezesem owej Rady stanowiącej pierwszą i naczelną oznakę polskiej władzy na tych terenach był mój cioteczny dziadek adwokat Stanisław Zdanowicz. Po nadejściu z Warszawy wieści o rozbrajaniu Niemców w Królestwie Polskim dziadek jako przedstawiciel Rady Narodowej zażądał od niemieckiego starosty Alberta przekazania władzy w mieście i powiecie lidzkim. Niemcy zmuszeni byli uznać Radę jako władzę powiatową i funkcję starosty lidzkiego. Organizacja ta nie zawiesiła swojej działalności nawet po odzyskaniu niepodległości. Istniała do 1935 r. a jej gośćmi byli tacy sławni Polacy jak marszałek Józef Piłsudski i Edward Śmigły – Rydz, a także Prezydenci Rzeczypospolitej Stanisław Wojciechowski i Ignacy Mościcki. Majątek mojego ciotecznego dziadka – Meluzyna gościł wielu wielkich Polaków, dla których Rzeczpospolita była najwyższą wartością. Mój dziadek ze strony matki – Henryk brał udział jako ochotnik w wyprawie marszałka J. Piłsudskiego na Kijów. Po wojnie zmarł represjonowany przez ówczesne władze. Dziadek ze strony mojego ojca był moim wielkim nauczycielem i przewodnikiem po historii Polski. To właśnie on, dziadek Jan uczył miłości do Ojczyzny, odkrywał przede mną białe plamy, śpiewał małej dziewczynce, którą wtedy byłam – pieśni patriotyczne. Pieśni o Polsce i o jej wielkiej historii, o bohaterach niezłomnych, złotą czonką zapisanych na kartach historii Ojczyzny. To on śpiewał pieśń „Nad nami Orzeł Biały”. On wzbudził we mnie ten wielki kult Ojczyzny i wielkich Polaków. On sprawił, że orzeł nie jest dla mnie tylko obrazem wieszanym na ścianach urzędów państwowych, ani kawałkiem metalu. Jest dla mnie wartością, symbolem państwa polskiego, wolnej i niepodległej Ojczyzny. Teraz słowa te wydają się być może patetyczne, ale w czasach mojego dzieciństwa słowo Ojczyzna pisało się z dużej litery. I tak już pozostało.



Monika Maciejczyk

– absolwentka Wydziału Filozoficzno-Historycznego oraz Prawa i Administracji na Uniwersytecie Wrocławskim. Angażując się społecznie i politycznie była prezesem Fundacji „Choremu Sercu Dziecka”, współpracownikiem Klubu Parlamentarnego BBWR oraz szefem sztabu kampanii prezydenckiej Lecha Wałęsy w woj. wałbrzyskim. Uczestniczyła w Prezydium Krajowym BBWR. Prozatorka, poetka, malarka. Na co dzień – mieszkanka Polanicy-Zdroju, właścicielka pensjonatu „Różany Dwór”.

Moje wspaniałe, dzielne Babcie, które mnie wychowały to były prawdziwe Matki Polki. Nieugięte, uczciwe, mądre Polki. Pamiętam opowiadaną mi historię o mojej Babci Józefinie, która będąc z pochodzenia Niemką, odmówiła podczas czarnej nocy okupacji przyjęcia obywatelstwa niemieckiego. Ono zaś gwarantowało bezpieczeństwo i życie zarówno jej, jak i jej mężowi i dzieciom. I ta mała, drobna kobietka była na tyle odważna, że okupantowi odpowiedziała – nie! Jestem Polką i umrę Polką, jeśli będzie trzeba. Ta wzruszająca historia przypomina mi o tym, co rzekł kiedyś marszałek J. Piłsudski – „Być zwyciężonym i nie ulec – to zwycięstwo”...

Moi dwaj wujkowie – Janek i Eugeniusz walczyli w Powstaniu Warszawskim. Jeden z nich był jeszcze dzieckiem. Walczył w „Szarych Szeregach”. Został ciężko ranny. Moja ciocia, a siostra mojej mamy została w czasie ulicznej tzw. „łapanki” w Warsza-

wie ustawiona pod murem i rozstrzelana przez niemieckiego okupanta. Miała wtedy 18 lat. Przeżyła, ciężko ranna leżąc pod stertą nieżywych ciał. Moja mama podczas wojny była małym dzieckiem. Wojna wywarła na niej swoje piętno, pozostając już na zawsze w myślach i emocjach. Na tyle mocno, że w chwili śmierci, właśnie te obrazy sprzed tylu lat powróciły z siłą niemalże rzeczywistości.

Moi nieżyjący już rodzice byli lekarzami. Praca i służba ludziom była dla nich misją, wielką pasją życia. Służyli Polsce z wielkim oddaniem swoją ciężką pracą. Wujek Broniek odbudowywał ze zgliszczy Warszawę. Był jednym z głównych inżynierów budujących słynną trasę WZ. Podnosił z ruin i stawiał na Placu Zamkowym kolumnę Króla Zygmunta. Jestem dumna z mojej rodziny. I całe życie starałam się tak postępować, aby być godną imienia moich wielkich przodków. Jak widzisz na tym kulcie wyrosłam, dojrzałam. Patriotyzm domu rodzinnego ukształtował mnie i stworzył.

W późniejszym czasie, gdy założyłam w województwie walbrzyskim struktury organizacji politycznej – Stowarzyszenia BBWR i gdy zostałam wybrana do władz krajowych tej organizacji – mały, srebrny orzełek w klapie marynarki towarzyszył mi zawsze i wszędzie. Będąc w Sejmie RP współpracownikiem Klubu Parlamentarnego BBWR nosiłam ten znak z wielką dumą. W kampanii prezydenckiej w 1995 r. zostałam powołana na szefa sztabu wyborczego Lecha Wałęsy w woj. walbrzyskim. Ciężka i odpowiedzialna to była praca. Praca nieodpłatna, nie znająca granic, godzin ani dni. Praca pochłaniająca noce i pozwalająca usnąć na kilka godzin między zebraniami i wiecami wyborczymi. Współpracowało wtedy ze mną około 3000 tys. ludzi zgromadzonych wokół wspólnej, polskiej przyszłości, rozumiejących cel i wartość swojej pracy. Pamiętam taką historię, która wydarzyła się późną nocą w Pałacyku Sobańskich w Warszawie, gdzie mieścił się Sztab Krajowy Lecha Wałęsy. Dochodziła północ. Siedziałam nad stertą dokumentacji wraz z Waldemarem Chrostowskim – członkiem sztabu krajowego. Był on kierowcą i przyjacielem księdza Jerzego Popiełuszki. Napisał książkę, a w wolnych chwilach opowiadał o historii ks. Jerzego, splecionej na śmierć i życie z hi-

storią Polski. I tej nocy, kiedy siedziałam tam tak zmęczona, jak tylko człowiek być potrafi, powiedział mi coś takiego, co stało się dla mnie wielką nagrodą i wyróżnieniem za ciężką pracę dla Ojczyzny. Powiedział – Wiesz najbardziej z tych wszystkich ludzi, przypominasz mi ks. Jerzego. A po chwili dodał. On też nosił w klapie takiego małego, srebrnego orzełka jak twój. I też masz w sobie to coś, co on miał. W roku 1998 wycofałam się z polityki. Mieszkam w Polanicy. Żyję skromnie, zajmując się pracą i rodziną. Patrzę z małego miasteczka na obecną scenę polityczną w kraju.

I wtedy, gdy Polska bardzo boli – piszę wiersze. Takie jak „Z Chochołów jestem”, za który otrzymałam I nagrodę w konkursie literackim jednego wiersza w Jeleniej Górze, takie jak „Pavulon”, za który dostałam wyróżnienie w konkursie ogólnopolskim, czy takie jak „Ukradli Polskę”, „Być Narodem”, „Polska Nocka”, „Guernica” i wiele innych.

I myślę, że dla Ojczyzny można pracować wszędzie... żeby Polska była Polska...

– Jak wygląda zwykły dzień, Moniki Maciejczyk – członkini Jeleniogórskiego Stowarzyszenia Literackiego, Stowarzyszenia EuroArt, współpracującej już od 8 lat z Dolnośląskim Oddziałem Związku Literatów Polskich, poetki, pisarki, malarzki, żony i matki, właścicielki pensjonatu „Różany Dwór” w Polanicy Zdroju? Podejrzewam, że z racji Twoich pasji twórczych i wielu jeszcze innych zajęć, którym oddajesz się z równie wielkim entuzjazmem i zaangażowaniem, nie należy on chyba do jednostajnych i szarych.

– Masz całkowitą rację. O moim dniu powszednim można powiedzieć wszystko, lecz nie to, że jest jednostajny i szary. Przychodzi mi tu na myśl chińskie przekleństwo – „Obyś żył w ciekawych czasach”... I myślę, że dane mi jest obok życia w ciekawych czasach mieć także ciekawe dni. To tak jak w piosence – „dzień do dnia niepodobny”... Chociaż jeśli byś pomyślała, że mój dzień jest wyjątkowy i usłany różami w „Różanym Dworze”, w którym mieszkam – to na pewno nie była by to prawda. Wiesz, to tak jak w życiu – wszystko się może zdarzyć. Mam wiele obowiązków związanych z utrzymaniem domu i rodziny. Tak jak większość z nas robię zakupy, biegam z siatkami,

sprzątam, gotuję, prowadzę dom i jestem załatwiaczem w szerokim rozumieniu tego słowa.

Najwięcej jednak trosk i zmartwień przysparzają mi dzieci. Niejeden siwy włos pojawił się już na mojej skroni. Nie chodzę, tylko niemalże biegam, w ciągłej obawie, że nie zdążę wszystkiego zrobić. Jestem zmęczona, coraz bardziej zmęczona. I doprawdy nie wiem co bym uczyniła, gdyby nie książki, które kocham, gdyby nie poezja i malarstwo. To nadaje wartość moim dniom. Szanuję i cenię szarą, pozytywistyczną pracę u podstaw. Ten wysiłek dnia codziennego, który buduje nasze życie, ale obok szacunku i wartości jest jeszcze miłość. I tą właśnie moją wielką miłością jest literatura. Należę do wielu stowarzyszeń literackich. W środowisku pisarzy i poetów mam wielu przyjaciół. I to jest bezcenne, bowiem na taką przyjaźń, głęboką i pełną zrozumienia czeka się całe życie. Jestem szczęśliwą.

A życie moje płynie pomiędzy zwykłym dniem, gdzie krzątam się włosy upinając gumkę w „mysi ogonek”, a wyjazdami na spotkania autorskie i literackie oraz na różnego rodzaju prezentacje mojej twórczości. I tam już nie jestem szarą myszką, tylko niemalże divą z blond rozpuszczonym włosiem, rozdającą miłe uśmiechy i wiersze.

– Rok temu ukazał się w EuroArt pierwszy rozdział eposu: „Jan Noe Gilgamesz”. Obecnie praca nad nim ma się ku końcowi, powstały już ilustracje do książki. Sama zdecydowałaś się zabrać o jego oprawę graficzną. Jak przebiegała praca nad „Gilgameszem”?

Co sprawiało Ci w trakcie pisania największą radość? Czy były także momenty trudne?

– Obecnie kończę pracę nad powieścią „Jan Noe Gilgamesz”. Jest to wielkie dzieło moralizatorskie dotyczące wielu bolesnych spraw. Jest to epos o człowieku. O małym – wielkim człowieku, który w czasach upadku zdołał zachować człowieczeństwo. Pytasz czy były w trakcie pisania momenty trudne. Tak, bowiem najtrudniej powiedzieć prawdę. Niektórzy określają to jako nagą prawdę. Były także momenty radosne. To prowadzenie przeze mnie postaci głównego bohatera Jana Noe Gilgamesza poprzez meandry życia. To epopeja zwycięstwa. Zwycięstwa dobra nad złem. Co w życiu tak rzadko się zdarza.

– Wydajesz swoją drugą powieść, która z racji swego języka, powiązanego z niebanalną, bo biblijną tematyką, od razu skazana jest na bardzo wybiórczego odbiorcę. Prosty język, którym chcesz dotrzeć do czytelnika nie oznacza, jakby się mogło wydawać, że problemy, które poruszasz należą do najłatwiejszych. Przedstawiciele środowisk twórczych, którzy przeczytali jej fragmenty twierdzą, że trafiłaś nierzadko w polskiej literaturze.

– Tak to określają. I chyba mają rację, gdyż epos ten jest hymnem pochwalnym na cześć bohatera – człowieka. Wskazuje drogę, którą powinien podążać dobry i uczciwy człowiek. Tak aby ta drobina ludzka, krucha i mała mogła stać się herosem, który uratuje świat.

Tytuł powieści wiąże trzy wielkie postacie w historii literatury świata. Gilgamesz bohatera najstarszego sumeryjskiego eposu w dziejach świata, postać biblijną Noego oraz zupełnie współczesną, stworzoną przeze mnie postać Jana – „dziwaka”, kochającego Stworzyciela Nieba i Ziemi. Człowieka idącego poprzez unurzane w moralnym błocie życie, a jednak nieugiętego w czynieniu dobra.

Powieść ta jest pisana gwarą. Bardzo uduziwnym językiem. To jak język Homera, który był mieszaniną wszystkich narzeczy greckich. Mój język to różne gwary, występujące na terenach całej Polski, a także zapożyczenia z innych kultur. Na wstępie mojego eposu istnieje krótki zapis – „Jakim językiem mówić do was mam, abyście mnie zrozumieli”. I tym językiem mówię, przedziwnym, przykuwającym uwagę, żałośnie zranionym, chwilami śmiesznym, fascynującym i wciągającym czytelnika w Krainę Gilgamezu. Wbrew pozorom język ten czyta się łatwo, a jego karłowatość zaciekawia czytelnika do tego stopnia, że chce czytać dalej. A w czasach mediów elektronicznych skuszenie książką jest już samo w sobie zwycięstwem.

– Odnoszę wrażenie, że w Twoich książkach są dwie kwestie, którymi chcesz uwieść czytelnika. Pierwsza z nich to liryzm, który sprawia, że dobrze się je czyta. Drugą z nich jest język, którym posługujesz się łatwo. Dotykając w Gilgameszu problemów ściśle egzystencjalnych, chcesz zwrócić uwagę czytelnika, że to właściwie nie

sam Jan Noe jest bohaterem lecz jego styl i język. Czy ta celowo użyta mistyfikacja ma służyć temu, aby w miarę jak najprościej opowiedzieć o tych wartościach, które zawsze będą nadrzędne, dopóki będziemy przestrzegać praw dekalogu.

– Język powieści jest tylko sugestywnym środkiem przekazu. Natomiast Jan Noe G. jest niezaprzeczalnie głównym bohaterem książki. Epos „Jan Noe Gilgamesz” to opowieść o ludziach złych i ludziach dobrych. O tym jak ciężko jest przetrwać prostemu, uczciwemu, dobremu człowiekowi w czasach Gilgameszowych. Jest on także odpowiedzią na pytanie – czy opłaca się być sprawiedliwym w czasach upadku zasad i moralności.

Powieść ta jest napisana na granicy konwencji prozy poetyckiej, jednocześnie posiada wartką i spójną akcję. Rzeczywistość przeplata się tu z poezją. Myślę, że jest to oryginalne podejście do tematu. Fabuła mająca w sobie wątki filozoficzne i liryczne, łączy się z opisami piękna przyrody Kraju Gilgameszowego. A wszystko to owiane jest mgłą Wielkiej Tajemnicy. Jak już wspomniałam powieść rozpoczyna się pytaniem – jakim językiem mówić do Was mam, abyście mnie zrozumieli? I tu rozpoczyna się historia opowiadana gwarą. Językiem przedziwnym, śmiesznym, archaicznym, infantylnym, a jednocześnie intrygującym, który sprawia, że czytelnik niejako wbrew sobie pozwala prowadzić się poprzez tę egzotyczną Gilgameszową Krainę. I tym właśnie przedziwnym językiem przekazuje wielką filozofię życia i nieprzemijające wartości.

To książka o człowieczeństwie.

– **Wspomniałaś już, że pracujesz nad nową powieścią, „Soir de Paris”, tym razem będzie to rzecz o ...?**

– Obecnie pracuję nad ukończeniem eposu „Jan Noe Gilgamesz” i jednocześnie piszę nową powieść „Soir de Paris”. Będzie to powieść z wątkiem autobiograficznym. „Soir de Paris” to nazwa ekskluzywnych francuskich perfum. Rzecz jednak nie o perfumach, lecz o wielkiej miłości dziecka do matki. Dziecka, które za wszystkie swoje oszczędności pragnie podarować swojej matce ten wymarzony zapach, wraz z przepustką do lepszego życia. To wzruszająca opowieść widziana oczami dziecka. Dotyka najgłębszych uczuć.

– **Twoje pasje artystyczne nie ograniczają się tylko do literatury. Patronuje im także św. Katarzyna z Bolonii – opiekunka artystów malarzy. Domyślam się, że kolor jest ważnym elementem w Twojej twórczości malarzkiej. Malujesz marmurowe kamienie przywożone co roku z Hvaru. Na nich, w lazurach i błękicie kołysz się miniatury stateczki, nad nimi w ochrze przechodzącej w amarant, podsycona różowymi odcieniami fioleto, toczy się, czasami purpurowa, czasami ognistoczerwona tarcza słońca. Różowo-błękitne zachody i wschody słońca nad Hwarem są tematem Twoich miniatury akwarel. Z tego samego białego marmuru na którym malujesz, powstał Watykan i Biały Dom.**

– Maluję na białym marmurze, kaflach, papierze, plastiku i wielu innych materiałach. Moje malarstwo jest całkowicie nieprofesjonalne. Uczę się na błędach. Barwy jakich używam to istny wulkan kolorów. W moich miniaturach zakłeta jest wielka ekspresja i energia. Gdyby można było nazwać wszystkie moje dzieła jednym imieniem, brzmiałoby ono – Kocham życie. Są to dzieła optymistyczne. Chylę w pokorze głowę nad pięknem świata i cieszę się, że dane mi jest to piękno oglądać. Ta wielka radość świata, która jest we mnie daje mi radość tworzenia i dzielenia się nią z innymi. Moje „Kamyki” dają w prezencie swoim bliskim, przyjaciółom, znajomym i nieznanym, miłym ludziom spotkanym na mojej drodze. Daję je za uśmiech. I to dla mnie największa nagroda.

– **Przyznajesz otwarcie, że jesteś pracoholikiem. Nawet kiedy odpoczywasz, nie może to trwać za długo. Corocznie wracasz w Chorwację na główne prace. Wracasz do kraju, do swego domu i znowu nie możesz sobie pozwolić z oczywistych powodów na odpoczynek. W Polanicy czeka już na Ciebie „Różany Dwór” i otaczający go piękny ogród.**

– Tak jestem pracoholikiem. Żal mi każdego upływającego dnia, każdej straconej chwili, która już nigdy nie powróci. Czas to jedna z największych zagadek tego świata. Jest nam dany. I tylko od nas zależy, jak go będziemy cenić i szanować. Myślę, że nasze życie nie należy wyłącznie do nas. Jest jak misja, jak wielkie zadanie. I tylko tyle jesteśmy warci, ile

możemy przekazać i podarować innym. Inaczej wszystko nie miałoby sensu.

Praca wyznacza ten sens. I czas traktuję nad wyraz poważnie i z pokorą. Nasz czas na ziemi.

– **Każdy z nas ma jakieś zasady, będące jego życiową busolą, wyznacznikiem poglądów, autorytetów. Jaką filozofią codzienności kierujesz się w swoim dniu powszednim? Co sprawia, że w efekcie takich, a nie innych wyborów odnosi się sukcesy, które torują drogę satysfakcji z udanego spełnionego życia? Nie zaprzeczysz, że jednym z wyznaczników szczęścia, jakie dane jest nam osiągnąć są marzenia. To one nadają życiu sens, sprawiają, że to co szare i smutne, nabiera barwy i blasku. Jak są marzenia i czego jeszcze można życzyć – KOBIECIE SUKCESU – Monice Maciejczyk?**

– Wiesz, nie czuję się kobietą sukcesu, chociaż moi znajomi i przyjaciele często tak mówią. Ale jedno jest pewne – mam marzenia. Mam głowę pełną marzeń i tak to już ze mną było od dziecka, że to co szare, smutne i takie zwyczajne, nabierało specjalnych znaczeń, barw i blasków. To jak wyobraźnia dziecka, kiedy zwykły kij zamienia się w rączkę, złotogrzywego rumaka, a inny patyk w wysadzany drogocennymi klejnotami miecz.

Pozostałam dzieckiem. Wiecznym dzieckiem, które we wszystkim szuka dobra, prawidłowości, logiki. Tymczasem świat jest kompletnie zwariowany, pozbawiony logiki i reguł.

Mądrzy ludzie mówią nawet, że świat oszalał, a centrala jest w Polsce. A wracając do dziecka to myślę, że każdy z nas, głęboko w swoim wnętrzu – takim dzieckiem pozostał. Należy to kochać i pielegnować, bowiem to nadaje życiu urok i piękno. Nie ma piękniejszego świata, jak ten widziany oczyma dziecka.

A dobro... Dobro jest poszukiwane jak kwiat paproci w noc świętojańską i tak samo trudno je znaleźć. Pytasz, jakie mam zasady. To takie proste. Jestem uczciwym człowiekiem. Kocham świat i ludzi. Pragnę dać każdemu to, co we mnie najlepsze. I zawsze bardzo boli, gdy mnie czasem ranią, źle odczytując moje intencje. Praca jest dla mnie wielką wartością, bowiem pozwala mi spełniać marzenia i pozostawić swój ślad na ziemi.

Największym autorytetem są dla mnie ludzie uczciwi. Powiesz,

być może, że to mało być uczciwym człowiekiem. Odpowiem, że to bardzo, bardzo wiele. A tak naprawdę, to tylko tyle jest warte nasze życie, ile zrobimy dla innych. Wiesz dobra materialne, domy i cały ten dobytek zostaje, a my odchodzimy. I liczy się tylko ten mały ślad, który po nas zostanie. Ostatnio ciężko chorowałam na tarczycę, leżałam w klinice, byłam leczona jodem radioaktywnym i wtedy napisałam krótki wiersz, który jak myślę oddaje w kilku słowach to, o czym pisałam wcześniej. Oto ten wiersz:

Klinika Endokrynologii Wrocław
13 stycznia 2010 r.

EPIZOD

Ja
mój
moje
moja
to tylko
Epizod

Myślisz, że jestem kobietą sukcesu? Tak mówią o mnie. Być może dlatego, że byłam działaczem politycznym, liderem, prezesem fundacji. Być może dlatego, że wybudowałam dom, posadziłam drzewa i urodziłam syna. Ale to chyba portret prawdziwego mężczyzny. Może dlatego, że piszę i wydaję książki, a może z całkiem innych powodów.

To pracowite życie. Jednak muszę Cię rozczarować. Ja nie czuję się kobietą sukcesu.

Mam nadzieję, że może kiedyś ten moment nadejdzie. Jednak to jeszcze nie tu i nie teraz.

Pytasz czego można mi życzyć. Myślę, że czasu, który pozwoli mi spełnić marzenia i powiedzieć światu to, co najważniejsze. Czasu, spokoju i pokoju, który pozwoli mi wypełnić to, co zamierzalam. Czasu, który pozwoli mi pielegnować różę w moim ogrodzie, pisać wiersze i książki. A także tego, abym doczekała dni, kiedy w moim kraju prawo równe będzie dla wielkich i małych. W kraju, w którym prawa człowieka będą dobrem szczególnym, chronionym przez majestat państwa.

– **Gratulując zdobycia I nagrody na konkursie ogłoszonym przez Czasopismo Literackie EUOArt za najlepszy wiersz w kategorii: piosenka turystyczna, zatytułowany – „Na strunach duszy” i życząc równocześnie, aby „Gilgamesz” jak najszybciej znalazł swego wydawcę, dziękuję za rozmowę.**